

góry i widząc światło w oknach mieszkania, zawołała:

— Tatko jeszcze się nie położył?

— Wiesz przecie — odpowiedziała matka — że ojciec chciał skorzystać z naszej nieobecności, by wybrać pewne szczegóły z papierów, które są mu potrzebne.

W kilka chwil potem zajechały windą na piąte piętro przed mieszkanie, które zajmowały. Zadzwończyły. Ponieważ nikt nie przychodził im otwierać, silniej nacisnęły guzik dzwonka elektrycznego. Wszystko jednak było napróżno.

— Czy Zofia nie słyszy? — odezwała się pani Korpfs Strauss.

— Tatko powinienby ją przestrzedz! — dodała córka.

Nie mogły przecież spędzić nocy w wieczorowych toaletach na schodach. Nie rozumiejąc, co się mogło stać i zaniepokojone tem milczeniem, zeszły na dół do stróża.

— Czy Zofia wyszła? — zapytała przez drzwi pani Korpfs Strauss.

— Tak, proszę pani — odpowiedział stróż — koło dziesiątej godziny, otrzymała depeszę...

— Depeszę?

— Tak, wzywając ją do Vincennes... zdaje się, że jej córka bardzo zachorowała... Wtedy pan Korpfs Strauss sam jej powiedział: „Niech Zofia nie wraca na noc, a klucz zostawi u stróża, który rano przyniesie mi dzienniki“...

Pani Korpfs Strauss przerwała:

— Ależ to nie tłumaczy, dlaczego mąż nam w takim razie nie otworzył!... Wie dobrze, że nie mamy klucza!...

— Niech pani użyje — rzekł stróż — mojego klucza.

Mówiąc to, ubrał się pospiesznie i poszedł za niemi do windy.

I jego wysiłki, by otworzyć drzwi, były daremne.

— Zasuwka założona jest od wewnątrz! — rzekł.

To zapewnienie uspokoiło cokolwiek panią Korpfs Strauss.

— Jednak jest to niezrozumiałe! — szepnęła.

Zaczęli znowu dzwonić bez przestanku. Wszystko napróżno.

— Strasznie twardy musi mieć sen pan Korpfs Strauss — mruczał stróż.

— Ależ nie — zaprzeczyła młoda panna, drżąc cała — tatko śpi tak lekko, iż usłyszałby, jak mucha fruwa!...

Te rozmowy, szmery i pukania obudziły kilku lokatorów, którzy zaintrygowani hałasem, wyszli do sieni w przypuszczeniu, iż mogą być pożyteczni.

— Nie pozostaje nic innego, jak wyważyć drzwi — zauważył ktoś z zebranych osób.

— Proszę wyważyć je! — zawołała pani Korpfs Strauss, której niepokój wzrastał ciągle.

Wkrótce pod naporem kilku osób rozwarły się obie połowy drzwi.

Pani Korpfs Strauss pobięła zaraz do gabinetu męża, lecz na progu padła na ziemię zemdlona, wydając przeraźliwy krzyk. Pośrodku pokoju leżał w kałuży krwi pan Korpfs Strauss z twarzą zwróconą ku podłodze, z rękami skrzyżowanymi i sztyletem tkwiącym między łopatkami.

Zawiadomiono natychmiast komisarza, który po dopełnieniu pierwszego badania, zatelefonował zaraz do dyrekcji policji. Wpół godziny potem przybył agent Lapipe. Od ośmiu miesięcy, od chwili zabójstwa w hotelu „Księcia Portugalskiego“ czyniono mu wymówki za niedbalstwo, jakiego się dopuścił, nie zapobiegając morderstwu śledzonego człowieka i wypuszczając mordercę.

— Niech pan się postara tym razem — mówił mu jego szef — naprawić swój błąd... niech pan użyje całego swego sprytu... podobna zbrodnia nie może pozostać bezkarna!

Agent odpowiedział strapiiony:

— Niech pan dyrektor będzie spokojny, bardzo pragnę zrehabilitować się w pańskich oczach jakim doniosłym czynem!

— A więc powodzenia, panie Lapipe!

Gdy agent już odchodził, zwrócił się jeszcze do swego szefa i rzekł:

— Nie zapominam wcale o owym złodzieju z Chicago. ...Muszę jeszcze załatwić z nim swój rachunek!... Dziś, czy jutro, ale go przytrzymam... Nie on nie straci na czekaniu!...

Z pierwszego badania, jakie agent przeprowadził razem z komisarzem, mieli tylko ten zysk, iż nie mogli w żaden sposób odkryć drogi, jaką zabójca dostał się do środka. Drzwi od schodów kuchennych, które zamykano na łańcuch bezpieczeństwa — stara służąca bowiem spała w mieszkaniu — były pozamykane, kominki były tak wąskie, iż złoźczyńca nie mógł dostać się tędy. Od chwili odkrycia zbrodni, nikt nie wyszedł z domu, strzeżonego przez dwóch policyantów, wszystkie zaś zakątki od strychu do piwnic przeszukano starannie.

Przytem i stróż twierdził, że od dziesiątej godziny do w pół do pierwszej, czyli od wyjścia służącej do powrotu pani Korpfs Strauss, nikomu drzwi nie otwierał. Nadto ile razy drzwi wjazdowe otwierały się, tyle razy specjalny przyrząd zapalał elektryczne światło w bramie; nikt więc nie mógł przejść niepostrzeżenie koło jego mieszkania.



Potem zdjął z nogi umarłego czerwony pantofel i obejrzał go ze wszystkich stron.

Nowe odkrycie zagmatwało jeszcze bardziej całą tajemnicę. Sztylet, który tkwił w plecach pana Korpfs Straussa, był jego własnością. Był to wspaniały nóż, przywieziony z podróży po Hiszpanii, a wisiał na ścianie, między inną bronią. Szczegół ten świadczył, iż złoźczyńca musiał znać dobrze rozkład mieszkania, jeżeli wiedział, gdzie szukać broni, potrzebnej do dokonania zabójstwa. W gabinecie jednak nic nie było poprzewracane, ani skradzione, koło zwłok tylko leżało rozrzuconych kilka papierów.

Raniony śmiertelnie z tyłu podczas pracy bankier, musiał starać się podnieść, potem obrócić się w koło i padając, ściągnął z biurka papiery. Upadku ciała nikt nie słyszał, gdyż lokatorowie z czwartego piętra wyjechali na święta Bożego Narodzenia, o czem zapewne wiedział zabójca i na to liczył.

Już w mieszkaniu stróża obydważy urzędnicy policji układali raport, gdy naraz we drzwiach ukażała się zagniewana i pełna oburzenia Zofia.

— Ale już tego za dużo panie Erneście — zawołała — takich żartów nie stoisz się ze starych kobiet... posyłać mnie o dziesiątej wieczór tak daleko do Vincennes!... przecież dzisiaj nie pierwszego kwietnia, by zwodzić!...

Urzędnicy spojrzeli bystro po sobie.

Zofia, która ich nie dojrzała, mówiła dalej:

— Moja córka wcale nie jest chora i nie wysyłała mi żadnej depeszy!... Jednak tego za wiele, panie Erneście? Dobrze, że mi mój pan pozwolił spędzić tam noc... Ale to wszystko jedno, niech tylko znajdę tego łobuza, który mi urządził ten kawał!...

Podczas gdy stróż opowiadał zdumionej służącej, co się stało u jej państwa, komisarz odezwał się do Lapipe:

— Depeszę tę wysłał zabójca... Chodziło mu, by pan Korpfs Strauss został sam w mieszkaniu... musiał to jednak być ktoś zaufany, jeżeli przed wysłaniem depeszy wiedział, że te panie idą na operę!...

— O ile tylko — odpowiedział Lapipe — nie jest on zarazem i tym, który przysłał bilety do teatru. Możemy się o tem przekonać natychmiast...

Przy słowach tych wyszedł zaraz i pojechał do pana Seversheima, który przyjął agenta z największym zdziwieniem.

— Co? Ja posyłałem bilety na operę paniom Korpfs Strauss?... Ależ nigdy w życiu, co mi pan opowiada?...

Potem, biorąc do ręki kartę wizytową, którą mu podał agent, przyznał:

— Rzeczywiście, jest to moja karta wizytowa... Och! Tego już za wiele!...

Spojrzał na kopertę.

— A jak mój charakter pisma jest podrobiony! To przechodzi pojęcie. Panie te mogły istotnie wobec tego dać się oszukać... Lecz dlaczego zbrodniarz mnie do tego wmieszał?... Jest to zapewne ktoś taki, kto doskonale nas zna... lecz ja nie widzę w naszym towarzystwie...

— Czy nie podejrzewa pan kogo ze służby?

— Nie... mam tylko jednego służącego, który od dwudziestu już lat pozostaje u mnie... to z pewnością nie on... przecież to wcale nie trudno zdobyć cudzą kartę wizytową... w potrzebie można ją sobie sfabrykować...

Opuszczając pana Seversheima, Lapipe był pewny, że człowiek, który posłał bilety do teatru paniom Korpfs Strauss był tym samym, który telegrafował do służącej i zamordował bankiera. Zbrodnia była dawno zamierzona, starannie przygotowana, potem z cudowną precyzją wykonana, a pobudką do niej mogła być tylko zemsta.

— Lecz — myślał Lapipe, łamiąc sobie nad tem głowę — kto tak bardzo pragnął zemścić się na Korpfs Straussie?...

W Paryżu najsilniejsze nawet wrażenie szybko zacierają się, dzisiaj czyta się o jednym niezwykle wypadku, lecz nazajutrz nowy każe zapomnieć o poprzednim. Zaledwie pan Korpfs Strauss został pochowany, gdy przestano mówić o tej zbrodni, która na chwilę przeraziła całą kolonię niemiecką, znającą przynajmniej ze słyszenia dawnego bankiera. Wszystko potoczyło się dawnym trybem na placu Malesherbes pod numerem 12; ta tylko zaszła zmiana, iż na szóste piętro, zamieszkałe przez służbę i ubogich lokatorów, wprowadził się w kilka dni po pogrzebie bankiera niski, łysy jegomość o czerwonej twarzy z okularami na nosie. Był on buchalterem w kilku magazynach, w wolnych zaś chwilach zajmował się u siebie zestawianiem bilansów i przepisywaniem.

Wniesienie jego drobnych mebli odbyło się prawie niepostrzeżenie i on sam czynił tak mało hałasu, iż najbliżsi jego sąsiedzi, którymi oprócz służących był jakiś urzędnik kolejowy, stangret z remizy, posługacz z ministerium finansów i przedstawiciel przedziałni Wolf et Cie, nie dostrzegli prawie jego obecności.

Bardzo jednak zdziwiliby się, gdyby dowiedzieli się, że ten cichy lokator spędza wieczory na podsłuchiowaniu pod ich drzwiami, a w dzień wychodzi po informacje o nich. Przenosząc się w przebraniu na szóste piętro, Lapipe miał w tem swój plan. Przedewszystkiem pozwalało mu to wchodzić i wychodzić z domu o każdej porze, bez zwracania na siebie uwagi.

(Ciąg dalszy nastąpi).